



WACŁAW FILOCHOWSKI.

## ZŁOTY SKARABEUSZ. (NOWELA).

(Dokończenie)

Przez przypadkowy zgon Horzesa, ostatniego władcy sekretu, tajemnica wygasa, a kapłani, nie domyślając się nawet znaczenia, jakie miał skarabeusz, umieścili go zwyczajem ówczesnym, jako zwykły amulet, w mumii arcykapłana, a w grobowcu postawili ulubiony posąg zmarłego — z bezcennym papyrusem. W owym małym pudełeczku Majkin ujrzał coś w rodzaju niezmiennie gęstego dymu, jakiegoś ciała nieznane, nie dające przy dotknięciu żadnych wrażeń, ale w mroku wspaniale promieniące złocistym blaskiem.

— Dusza Ozirisa? — uśmiechnął się Kamil.

— A może pył słoneczny? — odpowiedział z takim samym uśmiechem komisarz. — Zatem uczony — rewolucjonista stał się dziedzicem przypadkowo odkrytej tajemnicy, która, między innymi, wyjaśnia nam rzeczywiste źródła wpływu, jakim się cieszyli kapłani starożytności. Kiedy się zdarzył wypadek z Horzesem — Majkin nam nie powiedział, dał tylko do zrozumienia, że od czasu wygaśnięcia tajemnicy rozpoczyna się stopniowy upadek roli i wszechwładztwa kapłanów. Egiptolog, sam początkowo sceptycznie usposobiony do treści papyrusu, rozpoczął próby i znak żuka postawił sobie na ramieniu, potem księżnej, Tołkaczowi, a może i innym ludziom.

— Czy Majkin żyje? — spytał nagle hrabia. Jakaś myśl, widocznie bardzo dla niego ważna, natęczyła się odpowiedzi.

— Spokoju, mój młody panie. Podczas tej pogawędki telefonują z więzienia o niezmiennie ciekawym zjawisku. Mianowicie, w celi, w której osadzony był przewodnik Thaidy, awanturując się jakiś obcy jegomość w ubraniu Tołkacza, a sam Tołkacz się ulotnił. Zdziwienie moje trwało tylko chwilę — ujrzałem na twarzy Majkina coś w rodzaju szybko zgaszonej zapowiedzi uśmiechu. Krzyknąłem w telefon, by administracja więzienia nie przejmowała się zdarzeniem, ponieważ metamorfoza aresztowanego była przewidziana. Obcy jegomość nlech siedzi pod jaknajtroskliwszą opieką straży. Spojrzałem na Majkina — miał w oczach blask dzikiego gniewu. Jednocześnie ukłócił mi niepokój. Zapomnieliśmy o tem, że archeolog najwidoczniej musi mieć przy sobie amulet. Poprosiłem uprzejmie, lecz stanowczo, o oddanie skarabeusza. Odmówił. Nie było już uczynnego i badacza: z nami znów rozmawiał fanatyk i wywrotowiec. Proszę swą ponowiłem twardo, hamując rozdrażnienie, któremu towarzyszył coraz bardziej wzrastający niepokój. Aresztowany roześmiał się beczelnie: „Czy myślicie, że mógłbym się wyrzec daru Ozirisa? Żadnej korzyści zreszta być nie mogło. Złoty Dym jest tak schowany, że go napewno nie znajdziecie”. A po chwili, rzekł, patrząc mi z nienawiścią w oczy: „I Thaidy mieć nie będziesz. Spełni ona jeszcze to, co jej każę. Zostawię wam księżnę — w podwójnej żałobie. Zabię ją jednak obied i sumienie, gdy Thaida rozwali jej głupie szczęście i smarkacza wyśle do wieczności”.

— Jakto? — zdziwił się hrabia. — Co miały znaczyć te słowa?

— Przypuszczam, że pan się domyśli, gdy przejdę do dalszego ciągu swej opowieści. Wytworzyło się położenie bardzo ciężkie. Czułem, że skarabeusz nie powinien być ani chwili dłużej w rękach tego człowieka. Chciałem uniknąć zastosowania siły fizycznej, lecz innego wyjścia nie było. Wezwałem swych ludzi. Poleciłem im trzymać egiptologa za ręce i dokładnie przeszkukać kieszenie. Szamotaninę się, krzyk... Majkin gryzie, kopie, drapie. Aż wreszcie uciął szczególnie. I znów zmienił się zupełnie. Ale na wargach ma krew. Lekarz zaczął go cucić, ja zaś w instynktownym lęku plądrowałem po kieszeniach aresztowanego. Głowa Majkina ciężko opadła w tył, w ciele jego czułem już bezruch, a w piersi — ciszę. Jeszcze raz szarp-

nałem ubranie i wreszcie z jedwabnego sznurka, zawieszzonego na szyi pod bielizną, zerwałem safjanowe płaskie pudełko z amuletem Ozirisa...

Kamil zadrżał i spochmurniał.

— Teraz rozumiem, kogo miał Majkin wysłać do wieczności.

Milczenie niedługo trwało. Komisarz mówił dalej.

— W tej chwili, pamiętam to doskonale, zegar oznajmił, że jest godzina pół do dwunastej. W dwadzieścia minut potem telefonują do mnie, iż nowa warta więzienna, zmieniona o godz. 11 m. 40, znalazła trupa w celi Tołkacza. Trupa samego Tołkacza. Więzień zadusił się własnymi rękami. To już nie był ów zagadkowy jegomość, którego obecność wprowadziła w zdumienie administrację więzienia, były to zwłoki Tołkacza ze skarabeuszem na lewym ramieniu. Wtedy niepokój żrący ogarnął mnie o Thaidę... Po północy dowiaduję się, że... Czy pan nie może sobie przypomnieć — chodzi mi o jaknajściślejszą dokładność w ustalaniu minut — kiedy się wydarzyła katastrofa?

— Minut określić nie mogę. W każdym razie było to koło północy.

— Zatem wnioski Majkina o własnościach amuletu były słuszne. Egiptolog zabrał z sobą Tołkacza i... ofiarę katastrofy.

W Kamili znów zawyla męka. Zagryzł wargi, lecz milczał.

— Więc pan teraz się domyśla, kogo Thaida miała uszczęśliwić życiem wiecznym?

— Tak, ale doprawdy trudno mi pojąć. Mnie? Laris? Za co? Przecież...

Znów zerwał zwierzenie.

— Panie hrabio, nie księżna Laris, lecz Thaida Munha. W jakim celu? Albo Majkinowi się zdawało, że posiada pan jakie ważne o amulecie lub Złotym Dymie wiadomości, albo też, co jest prawdopodobniejsze, kazał Thaidzie zabić pana, by księżną wpędzić w otchłań wyrzutów sumienia, obłędu, a potem w śmierć. To był naprawdę szatański pomysł. Bo co Thaida mogła robić o tej porze na placu Zbawiciela w pobliżu mieszkania księżnej? Zapewne przeczuwała, że pan będzie się w tym czasie o panią Laris dowiadywał w jej mieszkaniu. Bo przecież Egipcjanka miała z naszego rozkazu w stroju ubogiej mieszczki o tej godzinie być obecną na zebraniu spiskowców w zupełnie innej dzielnicy miasta. Widocznie wola posiadacza amuletu w ostatniej chwili zmieniła swój rozkaz. Co bowiem mógł oznaczać rewolwer, znaleziony w kieszeni zmarłej?

Komisarz umilkł zamyślony.

Samochód dalej spokojnie toczył się po śnieżnym szlaku. Wiszący na martwym niebie księżyc zdawał się być otworem, przez który z innych światów spływał na ziemię mistyczny blask wieczności.

— Nie wierzę w cuda — mówił komisarz — ale się przekonałem, że umysł ludzki stanąć może wobec zagadek, niesłychanie trudnych do rozwiązania. Zagadek tak zawiłych i ciężkich, że może lepiej byłoby przezornie od nich uciec, gdyż mogą wtrącić człowieka w wir zabobonów, albo, co też nie jest wykluczone, — za furtę domu warjatów. Gdy ostrygnęliśmy z wrażeń, wówczas pewnie przychylimy się do wniosku mego przyjaciela, że mamy do czynienia z nadzwyczaj rzadkim zjawiskiem silnej zbiorowej hipnozy, przyczem skarabeusz Ozirisa był tylko jednym ze środków oddziaływania na wyobraźnię. Tak, ale narazie...

Komisarz w milczeniu wyjął safjanowe płaskie pudełko i otworzył je. Na ciemno-szkarłatnym, prawie czarnym pluszu, zamigotało światło.

— Niech pan zobaczy. Tak! mały kawałek złota, a wiele tu cierpień, tajemnic oszalałych, wiele krwi, ambicji, wojen, klęsk, zbrodni — całych stuleci.

I obaj panowie nachylił się nad pudełkiem, w którym od lekkich wstrząśnień samochodu drżał mały amulet. Księżyc też mu się ciekawie przyglądał. Może samotny pątnik nocy naszego globu poznał go i ze spotkania się ucieszył? Zapewne widywał tego skarabeusza w innych strefach, nad nieśmiertelnym Nilem, wtedy, gdy i on, księżyc, i Nil, i świat, a przedewszystkiem

człowiek — byli młodszy. Kamil przeżywał w sobie takie skupienie, że słyszał w swej ciszy szept legendy dawnych dziejów, z dalekiej historii umarłego państwa tu, pod polskie niebo do innych wieków zabłąkanej. Ten mały, milczący i choć martwy, lecz wspaniale wymowny żuk miał w sobie widać urok tajemnicy i moc zaklęcia, gdyż trudno było odeń oczy oderwać.

Wreszcie pudełko schowało się w kieszeni urzędnika policji.

— Dość igrania z Niezbadanym. Ten bezcenny antyk zbogaci teraz zbiory naszego państwa. Czy przyniesie szczęście? Czy nie zechce się mścić na komisarzu i jego przyjacielu za bluźnierczą ciekawość, jak w końcu zemścił się na Majkinie — zobaczymy.

— A Złoty Dym? — żywo badał Kamil.

— Egiptolog miał rację — nie zdołaliśmy pudełka wykryć. Widocznie tajemnicę skrytki wziął z sobą do grobu.

Kamil zatrząsał rękami.

— Która godzina?

I podał się naprzód, gdyż w ramie samochodu, za plecami kierowcy, błyszczał mały zegarek.

— Już pół do dwunastej?

— Gdzież tam! — poprawił komisarz, spoglądając na swój „Zenith” — kwadrans na pierwszą.

— Prawda, zapomniałem, że ten zegar cały dzień nie chodzi. A więc jest już za późno...

Roześmiał się z cicha. Komisarz zajął mu w twarz z zaciekawieniem.

— Śmieję się, jako że mój służący okazał się bardziej przewidującym, niż jego pan.

— Mianowicie?

— Z wyraźnym powątpiewaniem, mówił o mym wyjeździe za granicę. Ale za to odbyłem śliczną wycieczkę. Jeżeli nie jestem aresztowany, to może byśmy wrócili?

Mercedes na rozkaz komisarza zwołał biegu, zawrócił i szybko pobiegł w kierunku Warszawy.

— Czy Oskar może być zwołany? — spytał nieśmiało Kamil.

— Tę sprawę powinniśmy wyjaśnić. Wypadek nie wykoleił Oskara tak, jak pana, nie mniej jednak... Lepiej będzie, gdy się oderwiemy od państwa tajemnie, po którym błądziliśmy a zejdźmy do rzeczywistości, do jej mowy wyraźnej i beznamiętnej. Rzeczywistość zaś mówi, że bądź co bądź wczoraj, a właściwie już onegdaj, na placu Zbawiciela samochód pana, mknąc wbrew przepisom policji i zdrowego rozsądku z lekkomyślną, karygodną wprost fantazją, zabił człowieka. Jest to rzeczywistość bolesna, ostra, ale za to posiadająca jedną wartość niezmiennie cenną: jest jasna i prawdziwa. Czy nie lepiej będzie, jeżeli na tym gruncie zlikwidujemy historię amuletu Ozirisa?

— Tak — poważnie przyznał Kamil. — Z tego wszystkiego niewątpliwie pozostaje tylko fakt śmierci i mój czynny udział w wypadku. Chcę być i będę posłuszny prawu. Proszę postąpić ze mną tak, jak panu dyktuje obowiązek.

Komisarz skinięciem głowy wyraził swe zadowolenie. Ożywiła go nagle jakaś nowa myśl.

— Czy pan jest pewny, że zegar nie chodził w ciągu i tylko ubiegłego dnia?

— Rano Oskar zwrócił na to moją uwagę.

Urzędnik policji nie ukrywał swego ożywienia.

— A więc musiał widocznie się zatrzymać w noc krytyczną. Ale czyżby katastrofie mogło towarzyszyć tak silne wstrząśnienie, by aż zegarek stanął?

— Nie, wstrząśnienie było stosunkowo lekkie. W chwili wypadku, chcąc zwrócić uwagę kierowcy na groźne położenie, laską... Tak, ten szczegół, ten ruch już spóźniony, a więc niecelowy, narazie umknął mi z pamięci... Więc zamiast w plecy Oskara, końcem laski mocno uderzyłem w zegar. Tak, przypominam to sobie doskonale.

Ożywienie nadkomisarza przybrało już formę radości.

— W takim razie Majkin nie kłamał. Śmierć zabrała ich razem. Razem, o godzinie jedenastej minut trzydzieści.

A po dłuższej chwili, spokojnie i dyskretnie:

— Nim w biurze moim spiszę protokół,